Nr. 26. We Lwowie, Poniedziałek dnia 30. czerwca. 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”.

Jubileusz Marki Pocztowej.

Myśl zastąpienia znaczkiem wartościowym należytości bezpośrednio uiszczanej za listy datuje się jeszcze z wieku siedemnastego, jednakowoż forma, w której ją zrealizowano, jest produktem nowoczesnym.

Rząd angielski wprowadzając w myśl projektowanej reformy Rowlanda Hilla porto listowe w r. 1840 polecił pierwotnie sporządzić koperty listowe z napisem czarnym *(Postage One Penny)*, lub błękitnym *(Postage Two Pence)*. Dopiero w kilka miesięcy puszczono w obieg pierwsze marki pocztowe na 1. penny (brunatno-czerwone) i na 2 penny (błękitne) z podobizną królowej Wiktoryi. Fakt ten nastąpił w dniu 6. maja 1840 r.

Aż do naszych czasów utrzymywało się mniemanie, że ojcem marki pocztowej jest Rowland Hill. Jednakowoż nowsze badania wykazały, że zasługa wynalazku marki do nalepiania przypada w udziale księgarzowi z Dundee, Jamesowi Chalmersowi, który odnośny projekt szczegółowo opracowany przedłożył komisyi, wydelegowanej z łona parlamentu celem zbadania reform przedłożonych przez Hilla.

Za przykładem Angli poszły w r. 1843 Brazylia, Genewa, Zurych, w r. 1845: Finlandya i Bazyleja, w r. 1846: Stany Zjednoczone Ameryki północnej, w r. 1848: Rosja, w r. 1849: Bawarya, Belgia, Francya i Nowo południowa Walia, w r. 1850: Hiszpania, Austrya, Szwajcarya, Prusy i inne państwa niemieckie, w r. 1851: Dania, Sardynia i Toskana, w r. 1852: administracya Turntaxisów, Luksemburg, Niderlandy i większa część państw włoskich, w r. 1853: Portugalia, w r. 1854: Norwegia, w r. 1855: Szwecya, w r. 1847 Meksyk. Następnie w r. 1861 Zjednoczone Włochy i Grecya, w r. 1863: Turcya, w r. 1871: Japonia. W chwili powstawania światowego związku pocztowego w r. 1874 drobniuchna marka pocztowa obiegła już do koła cały glob ziemski.

Pierwiastkowe okazy marek pocztowych zdradzają na pierwszy rzut oka, iż administracya pocztowa przy ich emissyi nie miała zupełnie na myśli względów estetycznych. I tak n. p. pierwsze marki perskie robią wrażenie zabrudzonych kawałków papieru; toż samo marki niezależnych państw wschodnio indyjskich wyglądają jakby wyroby fantazyi dziecięcej. Z biegiem czasu poczęła się objawiać odmienna tendencya. Każde z państw usiłowało swej marce nadać pozór artystyczny. Miejsce ręcznego stępla zajęła litografia, a następnie miedzioryt, lub staloryt. Marki Stanów Zjednoczonych od r. 1869, Portugalii (z lat 1870—1875), Brazylji (od r. 1878 1879), są istnymi cackami sztuki.

Podobnie jak pod względem wykończenia, tak też i pod względem zewnętrznym marki różnią się między sobą. Anglia wraz z koloniami używa ciągle jeszcze marek zdobnych w popiersie wiecznie młodej Wiktoryi, Prusy zatrzymały głowę Fryderyka Wilhelma IV, Włochy głowy Emanuela i Humberta, Austro-Węgry profil cesarza Franciszka Józefa. Hiszpania na swych markach tłoczyła podobiznę posiadaczki „róży złotej“, która od czasu do czasu ustępowała miejsca rozmaitym alegoryom, by pojawić się ponownie w odmłodzonej postaci. Na markach francuzkich uwieczniał się Napoleon III., którego głowę od r. 1863 zdobi wieniec imperatorski. Z czasem podobizny monarsze zastąpiono herbem państwowym, zaś kraje republikańskie obok alegoryi poczęły się posługiwać rozmaitemi dewizami. I tak Francya po upadku Napoleona wznowiła zapomnianą od r. 1849 boginię wolności, którą w r. 1876 zastąpiła alegoryą handlu i pokoju. Egipt pozostał i nadal przy piramidzie i sfinksie. Głowa Merkurego zdobi marki greckie, na chińskich sroży się smok, podczas gdy na marce Afganistanu oglądamy łeb tygrysi, symbol szlachetności i odwagi.

Rozmaite przewroty i zmiany polityczne poszczególnych państw wpłynęły na znaczne pomnożenie liczby marek. W miejsce dawnych dziewiętnastu marek niemieckich, wydawanych przez osobne zarządy, ukazały się jednolite marki Zjednoczonych Niemiec obok których powstały tylko osobne znaczki pocztowe bawarskie i wirtembergskie. W Prusiech, w dawnym Związku północno-niemieckim i w cesarstwie niemieckiem istniało do tej pory 119 rozmaitych kategoryi marek. Liczba ta nie jest znaczną, jeźli się Niemcy porówna z Hiszpanią. Tamtejsze, pierwsze po r. 1858 marki, zdobi podobizna Izabelli, w r. 1869 pojawia się w jej miejsce Hiszpania, która w roku następnym zastąpioną została głową Amadeusza. Następnie pojawiają się równocześnie marki z podobizną Don Karlosa i Alfonsa XII. — obecnie znów przyjdzie kolej na profil rejentki Krystyny. Ogółem od roku 1858 Hiszpania posiadała 520 najrozmaitszych rodzajów marek. Z tej liczby 280 przypada na kolonie.

Taż sama rozmaitość co i w emblematach znajdujących się na rozmaitych rodzajach marek, panuje też i w barwach takowych. Związkowi pocztowemu udało się dotychczas doprowadzić przynajmniej do tej jednolitości, że w państwach należących do konwencyi wprowadzono barwę błękitną dla marki wartości 10 ct. (25 centimów, 20 fenigów), czerwoną dla marki pię-

ciocentowej (10 centimów, 10 fenigów), zieloną dla marki trzycentowej (5 centimów, 3 fenigi).

Liczba ogólna marek, będących w obiegu w chwili obecnej, wynosi około 6.000., z czego połowa przypada na Europę. Najwyższą po niej liczbę marek posiada Ameryka, poczem następują: Azya, Afryka, Australia. Doliczywszy wszystkie kategorye marek, wycofanych już obecnie z obiegu, przekonamy się, iż kompletny zbiór marek musiałby obejmować około 10.000 egzemplarzy.

Przeciętna cena znaczków, będących dziś w obiegu, waha się między pół penny a pięcioma markami niemieckiemi. Wyjątkowo tylko znajdują znaczki pocztowe wyższej wartości: w Anglii (5 funtów szterlingów), w Stanach Zjednoczonych (60 dolarów), w Południowej Australii (20 funtów szterlingów).

Od lat dwudziestu pięciu z okładem zaczęły powstawać pierwsze, umiejętne kollekcye marek i równocześnie utworzyły się specyalne handle marek. Przysłowie: „Wszelki początek jest trudny“, niema w tym wypadku żadnego znaczenia. Za 5 złotych można dostać 350 znaczków, za 25 zł. tysiąc sztuk, za 150 zł. jakie dwa tysiące — ale dalsze kompletowanie zbioru jest wielce kosztowne. Tak naprzykład katalog rzadkości firmy berlińskiej Lietzowa zawiera następujące ceny: Znaczek filipiński na 5 *cuartos* z r. 1854: 200 marek; Szwajcarya, 4 *centimes*, czarny druk na białem tle: 100 marek; Genewa, 5+5 *centimes:* 150 marek; Rumunia, 81 *para*, błękitna: 250 marek; Toskana, 60 *crazie*, czerwono brunatna: 100 marek; 3 liry, ciemnożółta: 200 marek. Największą wszakże rzadkością są znaczki z wyspy św. Maurycego z października 1847 roku, na 1. penny czerwona i na 2 penny błękitna. Obie razem kosztują: 4.000 marek!

Z tych kilku przykładów wynika dość jasno, że zbieranie znaczków pocztowych jest zabawką wielce kosztowną i — niebezpieczną. Należy bowiem wiedzieć, że w dziale okazów rzeczywiście rzadkich i cennych istnieje daleko więcej falsyfikatów niż oryginałów. Bardzo więc łatwo za pokaźną sumkę pieniężną można stać się właścicielem bardzo zręcznego falsyfikatu bez wartości najmniejszej. Istnieje nawet specyalna książeczka, wydana w r. 1879 w Berlinie przez Lietzowa, wykazująca wszystkie szalbierstwa dokonywane przez pomniejsze handle marek. I tak, w Dreźnie, gdzie istnieje cała fabryka fałszywych marek, wydarzył się w swoim czasie następujący wypadek. Wyprodukowano w tym zakładzie z jak największą dokładnością cały nakład marek z Costa-Rica. Fałszerzy zdradził wszakże błąd w napisie (*una peseda* miasto: *una peseta)*

Można zapatrywać się rozmaicie na markę pocztową. Można ją po użyciu rzucić najspokojniej do kosza, albo też chować z całym pietyzmem. W każdym jednak razie przyszły historyk cywilizacyi naszego wieku nie będzie mógł pominąć milczeniem drobniuchnej marki.

W WAGONIE.

(Dokończenie).

Jakaś grupa ludzi, obładowanych podróżnemi tłomokami, odsyłana od jednego konduktora do drugiego, staje przed poważnym, z długiemi bokobrodami panem naczelnikiem w czerwonej czapce.

Na czele grupy typowy i otyły szlagon z zawiesistym wąsem, w białym, płóciennym pudermantlu utyskuje grzmiącym barytonem na pociąg, mający już niebawem ruszyć, i na swoje trzy zielone bilety, które trzyma w rozpaczliwie wzniesionych do góry rękach. Konduktor tłumaczy się, że nie ma ani jednego wolnego miejsca w drugiej klasie.

— Umieścić tych państwa w pierwszej klasie! — rozstrzyga kwestję pan naczelnik.

Pakują ich wszystkich do naszego przedziału.

Pierwszy gramoli się otyły ojciec rodziny, ów szlagon w białym pudermantlu. W ręku trzyma wielką torbę podróżną, krytą zniszczoną kanwą włóczkową, skrzynkę, oblepioną błękitną bibułą i owiązaną sznurkami, koszyk i kilka różnej wielkości pudeł i pudełek. Sapie przy tej czynności, jak lokomotywa.

Za nim po stopniach pnie się magnifika, widocznie matka licznego potomstwa, zahukana, z wąską piersią, drobna, wyniszczona, z twarzyczką zwiędłą, jak wyciśnięta cytryna

Pochód żwawo zakończa panna, trzymająca w ręku kilka doniczek heljotropu, lewkonij i gwoździków. Pomimo źle skrojonej sukni, cudackiego kapelusza i brzydkich rękawiczek, znać, że jest młodą, świeżą, a i buzię ma dość ładną. Kiedyś może roztyje się, jak papa, lub wyschnie, jak mama, dziś z krótko obciętemi włosami, z oczkami błyszczącemi, z figlarną, rezolutną twarzyczką, sprawia ujmujące wrażenie.

A to porządki, panie, na tych kolejach. Każą ludziom płacić, a usiąść nie ma gdzie! Jak gdyby lokomotywie nie było wszystko jedno, ile wagonów ciągnie za sobą.

— Bo też biletów w kasie powinni sprzedawać tylko tyle, ile jest wolnych miejsc w wagonie — cedziła cienkim głosikiem, wtórując mężowi, mama.

— Jabym ich był nauczył porządku. Czasu nie starczył‑. A wszystkiemu, panie, winna moja żona, która, panie, wiecznie musi się spóźniać!

— Et! proszę ojca, gdyby ojciec nie był posyłał koni na łąkę, a później nie konferował z arendarzem, tego wszystkiegoby nie było.

— Ależ Maniu! — mitygowała matka.

— Tere fere... Wy kobiety zawsze macie słuszność.

Ostatnie zwrócił nawpół do nieznajomej damy z ową swobodą, z jaką zawierają znajomości mieszkańcy wsi i małych miast prowincjonalnych.

Złotowłosa dama pobłażliwie się uśmiechnęła i wnet sama zaczęła opowiadać o swojem spóźnieniu się na pociąg, o tem, jak była wzruszoną, widząc z powozu, że pociąg już nadchodzi.

Nie pomijała najdrobniejszych szczegółów. Niektóre powtarzała kilka razy.

Obywatel przysłuchiwał się opowiadaniu uważnie, żona zachęcająco głową kiwała, a córka, wpatrzona w piękną i elegancką damę, przejęta była dla niej widocznem uwielbieniem.

Pierwsze lody od razu przełamano. Rozmowa

płynęła bez przerwy: swobodna, niepowstrzymana.

A pan w szkockiej czapeczce i w hawełoku daremnie wzrokiem strofował rozbawioną damę, poprawiał się niecierpliwie na siedzeniu i wargi zagryzał. Dama tych wszystkich objawów nie dostrzegła, nie zrozumiała, czy też zrozumieć nie chciała.

Dalszy ciąg podróży odbywa się bardzo przyjemnie. Nowozaznajomieni gwarzą w wagonie, jak przy kominku. Rozprawiają o zasiewach. Przenica z powodu suszy bardzo ucierpiała, a na deszcz wcale się nie zanosi. Żyto zbielało, grochy i marchew zupełnie zniszczone.

Szlachcic żali się na ciężkie czasy. Stanowczo nie pamięta takiego roku. Żona znowu potakująco kiwa głową. Panienka uważa także za stosowne przybrać minkę, trochę smutniejszą, choć zdaje się, iż ma ogromną ochotę wybuchnąć śmiechem, byle tylko zdarzyła się ku temu pierwsza lepsza sposobność.

— Za to koniczyna... palce lizać! — cmoka szlagon, przykładając rękę do ust.

Panie przyszły na pole gospodarstwa kobiekobiecego: opowiadają o drobiu, o warzywach i o nabiale.

Dama uprzejmie częstuje pasztetem i szynką. Jest widocznie dobrą gospodynią; szeroko rozprawia o ogrodzie, o różnych porządkach, jakie zaprowadziła w domu. Lubi jeść smacznie i zna się doskonale na kuchni. Wszystkie te specjały są jej własnej roboty. Nauczyła się od kucharza.

Slachcic tak zachwycił się pasztetem „własnej roboty“, a szczególniej szynką, że aż w rączkę cmoknął „panią dobrodziejkę“.

— Mężulek pani dobrodziejki zapewne myśliwy? — zapytał, rad jaknajprędzej zawrzeć nową znajomość.

Lecz „mężulek“, oddalony od towarzystwa, zakrył się swoim angielskim hawelokiem i uparcie udaje śpiącego.

Matka i córka delektują się cukrami i konserwami. Wywzajemniając się pięknej pani, zdjęły z półki koszyk i raczyły ją czereśniami. Znalazły się także wyśmienite kruche placuszki „własnej“ roboty panienki.

Dama twierdziła, że jeszcze nigdy w życiu nic równie smacznego nie jadła.

Obiecano sobie wzajemnie użyczyć przepisów kucharskich. Dama miała przesłać notatkę, jak się przyrządza pasztet, a panienka przepisy na ciastka.

— Mieszkamy w Lipowicach, cztery mile od miasta; a szanowni państwo zapewne także w tych okolicach...

— Także — zaczerwieniła się i, zmieniając rozmowę, zapraszała do wina, które wlewała w srebrne kubki.

— Ślicznie dziękujemy pani; mój mąż będzie nie od tego... lecz ja i córka nie znosimy wina. Zaraz w głowach nam się kręci.

— Ja zaraz po pierwszym kieliszku staję się czerwoną, jak burak — dorzuciła, parskając śmiechem, panienka.

— Czy być może? A ja mogłam dawniej wypić całą butelkę szampana, słowo honoru. Szczególniejsze pragnienie uczuwałam zawsze po ostrygach.

Szlachcic opowiadał dykteryjki. Żona jego stroskana i wynędzniała nie umiała się już śmiać. Zakrywała sobie tylko twarzyczkę czerwonemi, spracowanemi rączkami i w zachwycie wykrzykiwała, jak pani Jowialska; „co też ty wygadujesz!“

Za to córka, śmieszka okropna, wybuchała co chwila dziwnie brzmiącym, duszonym w sobie śmiechem: hi, hi, jak gdyby ją kto łaskotał!

Lecz najwięcej rozbawioną była złotowłosa dama. Nie poznawało się w niej owej znudzonej niedawno, milczącej i ziewającej kobiety.

Oczy odzyskały blask, usta się zaczerwieniły. I ona rozpowiadała teraz z werwą różne zdarzenia z podróży i gospodarstwa. Giestykulowała przy tem rękami i, czując, że ją chętnie słuchano, dowcipkowała i śmiała się.

Teraz kobiety były już tak rozochocone, że literalnie wszystko je bawiło. To pobudzał je do wybuchów radości jakiś stary jegomość, wyglądający oknem sąsiedniego wagonu, podobny do mumji egipskiej, to figlowały z jakimś gimnazistą, jadącym bez promocji do domu. Mały urwis stroił do nich z okna jakieś dziwaczne miny, a one rzucały mu cukierki, które on zręcznie pochwytywał w locie w same usta.

A figlarz wiatr tak długo bawił się włosami damy, muskał je i targał, aż uwolnione z tamy szpilek, złotą falą stoczyły jej się na ramiona.

Młoda panienka oświadczyła gotowość sprowadzenia ich do porządku.

— Zgadzam się — odrzekła z uśmiechem dama — lecz pod jednym warunkiem: musi pani pozwolić dać się ucałować.

Panienka aż poczerwieniała z radości. Lgnęła do owej nieznajomej z właściwą młodym ufnością, z całym swym nagromadzonym zapasem młodzieńczej przyjaźni, poświęceń, miłości, któremi to skarbami, nim je rozczarowanie zamrozi, nie wiedząc, co z niemi robić, obrzucamy lada kogo.

Rzuciły się sobie w objęcia. Ślicznie wyglądała ta rozkwitła w całym swoim blasku róża i tulący się do niej młodzieńczy pączek.

Ale oto konduktor rząda od szlachcica zwrotu biletów; zbliżano się bowiem do stacji, na której mieli wysiąść.

Pozdejmowano pakunki z półek, porządkowano i układano swoje manatki. Widziałem, jak złotowłosa dama wsypywała im ukradkiem do kosza pozostałe resztki przysmaków.

Pociąg zwalniał już swój bieg. Zaczęto się żegnać. Dziękowano sobie wzajemnie za przyjemnie spędzony czas; przesadzano się w grzecznościach i komplementach.

— Całuję rączki pani dobrodziejki — mówił szlagon — mężulkowi proszę złożyć moje uszanowanie; żałuję bardzo, że nie miałem zaszczytu bliżej go poznać, lecz ludzie — nie góry spotykają się z sobą w życiu. Byłoby nam bardzo przyjemnie...

— Byłoby nam bardzo przyjemnie — powtarzała żona, nie mogąc na odchodnem wynaleźć innych słów pożegnania.

Panienka miała smutną minkę.

— Nie zapomnę nigdy tych kilku chwil, spędzonych z państwem — mówiła dama. — Godzina ta pozostanie mi w pamięci wiecznie.

W słowach tych, pomimo egzaltacji, czuć było najzupełniejszą szczerość.

Pociąg przystanął. Szlachcic zdjął czapkę z głowy. Żona i córka stały już na peronie.

— Andrzej Żarkowski z Lipowic — przedstawiał się, stojąc na stopniach wagonu — a z kimże miałem honor, jeśli wolno wiedzieć...

Dama zamierzała otwierać usta... Wtem z wnętrza wagonu zabrzmiał bardzo wzburzony głos: Julka!

Cofnęła się od okna. Konduktor zatrzasnął drzwiczki wagonu. Ruszyliśmy.

Pan powstał z miejsca. Znać po nim było, że przez cały czas udawania nie zmrużył oka. Zdawał się być bardzo rozdrażnionym. Był blady i usta nerwowo wykrzywiał.

Przewidywałem burzę. Mający się rozegrać pomiędzy nimi dramat wisiał na włosku. Nie przeszkadzałem im wcale. Zżyli się już z moim widokiem. A że przez cały czas podróży nie przemówiłem słowa, uważali mnie widocznie za głuchoniemego, za sowę, która tylko w nocy nie sypia, lub za Anglika.

— Czego chcesz odemnie? — zapytała, niby niedorozumiewając się przyczyny jego wybuchu, wpatrzona jednak w niego nieśmiało, jak dziecko które domyśla się, że zawiniło i że kara go nie ominie.

Potulny głos winowajcy jeszcze więcej zburzył sędziego.

— Czego? — bąknął, hamując się. — Chciałem cię przeprosić za to, żem ci przeszkodził w przedstawianiu się.

Dama oparła głowę na ręku i odwrócona patrzyła bezmyślnie w okno.

— Nie domyślam się tylko — ciągnął po chwili — czyje nazwisko miałaś na końcu języka i nie wiem, dokąd zamierzałaś zapraszać swoich gości?...

— Nie zapraszałam ich wcale — odrzekła prawie szeptem, obawiając się zaprzeczać mu.

Przez chwilę milczeli oboje. Lecz chmury wciąż się gromadziły i w powietrzu czuć było, iż burza jeszcze nie przeszła.

— Nie zapraszałam ich wcale — powtórzyła, trochę ośmielona jego milczeniem — lecz trudno jest być niegrzecznym; wszak widziałeś, jacy byli dla mnie uprzejmi.

— Ta uprzejmość jednak nie przeszkodziłaby im nie wpuścić cię za próg domu. Prosiłem cię tyle razy, abyś nie zawierała nowych znajomości.

— Trzeba mi było kazać pozostawić język w domu.

— Nie, lecz trzeba było wraz z nim zabrać i rozsądek, rozumieć swoje położenie i nie narażać mię na przykrości, jakie mnie z tego powodu może czekają.

— Przykrości! Sądzę, że nie sprawiłam ci w niczem wstydu.

— A ja sądzę, że powinnaś była spełnić moją prośbę i że powinno ci było przyjść na myśl, iż ten szlachcic, może krewny mój jaki, może wystąpić przeciwko mnie i zapytać, czemu tak uporczywie milczałem i nie przerwałem tych twoich wybuchów przyjaźni dla jego żony i córki.

— Cóż im się złego stało, że przez chwilkę pomówiły ze mną — rzekła z ogromnym żalem w głosie.

Pan zniecierpliwiony machnął ręką, a ona biadała dalej, coraz więcej rozżalona.

Nie umiała jednak bronić się; była zbyt wzruszoną. Uczucie wzięło górę nad logiką.

Rozwodziła się szeroko i długo, że jedyną jego przyjemnością jest sprawianie jej przykrości, że powinien raczej być zadowolony, iż ona przez chwilę czuła się kobietą, jak inne, lecz że on przeciwnie zazdrosnym był, iż na chwilę odzyskała humor i że widział, iż ona potrafi znaleźć się w towarzystwie tak dobrze, jak inne kobiety.

I znowu powracała do tego, że jej umyślnie wyszukuje przykrości i powtarzała jedno i to samo w kółko, nie znajdując już ani jednego nowego argumentu, ani jednej przekonywującej myśli.

— Cóż im się złego stało, że przez chwilkę porozmawiały ze mną — ratowała się uparcie tem zdaniem, jak gdyby chciała przekonać nietylko jego, lecz i samą siebie, że w rzeczywistości im się nic z tego powodu nie stało.

Znać po niej było, że była dotkniętą bardzo głęboko i bardzo boleśnie, że czuła niewypowiedziany żal do niego za zarzuty, które ona w głębi, pomimo woli, uznaje za słuszne, i których zbić nie jest w stanie.

Wreszcie bezsilna wybuchła rzewnym płaczem.

— Dość tych scen — mruknął zniecierpliwiony pan — zapominasz, że nie jesteśmy sami (co prawda, przypomniał sobie o tem dość późno).

Dama ucichła, tylko od czasu do czasu stłumione wzdychania dochodziły do moich uszu.

W tych jękach czytałem słowa:

Wyrwijcie mi język, kiedy mi z ludźmi mówić nie wolno; wyrwijcie mi serce, kiedy moja przyjaźń hańbi, zduście wszystkie uczucia; pozostawcie tylko piękność, ponieważ ta tylko jest wam potrzebną.

Po kilku dniach spotkałem ich w Wiedniu na Ringach. Szli obok siebie — oboje milczący, bez humoru.

Przez cały czas mej podróży najcudniejsze obrazy, jak w czarodziejskiej latarni, przemykały się przed memi oczami. Jednego dnia płynąłem statkiem po jeziorze: podemną — i nademną — niby dwa nieba, bez jednej plamki szafirowej. Wokoło stereżą skaliste Alpy, jak z marmuru, a słońce, uderzając w nie promieniami, ozdabia je w miljardy lśniących brylantów. Nazajutrz podziwiałem cuda natury i sztuki Salzburga. Lecz czy to wdrapywałem się na Rütschbahn'ie w piekielną otchłań kopalni w Berthesgaden — po głowie uparcie wiła mi się w kółko jedna myśl: Julka i Julka!

Na chwilę nie mogłem o niej zapomnieć, a w uszach dźwięczały mi nieustannie jej słowa:

„Cóż im się złego stało, że przez chwilkę pomówiły ze mną“.

A. K.